

7 Jan Paweł II i Benedykt XVI — (25 kwietnia 2005)

Bardzo serdecznie państwa witam. Chyba podczas wszystkich naszych konferencji, które do tej pory miały miejsce, nie mieliśmy miesiąca, który byłby tak bardzo intensywny w wydarzenia i przeżycia, jak ten czas, który właśnie teraz się skończył, jak ten czas, który właśnie wczoraj dobiegł końca. To były niezwykle dni, na pewno każdy z państwa odczuł ich niezwykłość. Ja myślę że nie moglibyśmy posunąć się dalej w naszej refleksji, także biblijnej, gdybyśmy nie obejrzeni się wstecz i raz jeszcze nie ogarnęli naszymi myślami, naszą pamięcią „świętej pamięci” — po raz pierwszy to mówimy tutaj, w dolnym kościele — Ojca Świętego Jana Pawła II i nie odnieśli się do jego następcy i naszego nowego papieża Benedykta XVI. Myślę że każdy z państwa odczuwa w sercu te dwa uczucia, które nami targają. Z jednej strony jest to ból, żal, smutek z powodu tego, co wydarzyło się 2 kwietnia 2005 r. Z drugiej strony to jest nadzieja, wiara, radość z powodu tego, co wydarzyło się niecały tydzień temu podczas kolejnego konklawe. Bardzo chciałbym, żebyśmy obejrzeni się wstecz i mam nadzieję, że ta refleksja, którą dzisiaj chciałbym się z państwem podzielić, będzie na tyle owocna i jednocześnie na tyle osobista, że w tym, o czym chciałbym mówić, rozpoznają państwo częśćkę i swojej wiedzy, i swoich odczuć, i swoich przeżyć. I być może uda nam się raz jeszcze wydobyć to, co najważniejsze.

Pamiętając państwo, że kiedy spotkaliśmy się ostatni raz, to choćby z tonu naszej wspólnej refleksji, która była wielkopostna, widać było, że powoli przygotowujemy się na przejście Ojca Świętego Jana Pawła II do tego lepszego świata. Zwracam uwagę na to wyrażenie, bo w tym okresie, kiedy Ojciec Święty zmarł, byliśmy z dużą grupą polskich księży studiujących w Rzymie na Synaju, a potem w Ziemi Świętej, i zwłaszcza zapadło mi w pamięć wspomnienie z poniedziałku, kilkadziesiąt godzin po śmierci Ojca Świętego, z tego pierwszego poniedziałku po zgonie, kiedy poszliśmy do bazyliki w Ogrójcu, Bazyliki Konania. Była to nasza pierwsza msza święta w Jerozolimie, właśnie sprawowana w Ogrójcu. Było nas czterdziestu ośmiu księży i przygotowaliśmy się do odprawiania tej mszy świętej przy Skale Agonii, przy skale na której Jezus przeżywał w samotności swoje ostatnie chwile ziemskiego życia. Weszliśmy do zakrystii, aby tam się przebrać, i franciszkanin, Amerykanin, który tam sprawuje pieczę nad tą bazyliką, patrząc na nas, na tę grupę polskich księży, jak bardzo byliśmy zbolali i poruszeni tym, co się stało, powiada do nas: „No ale przecież on jest w lepszym świecie”.

I oczywiście ten paradoks odczuwaliśmy w ostatnim okresie. Z jednej strony świadomość, która płynie wiary, że zmarły papież jest w lepszym świecie. A z drugiej strony na pewno bardzo głębokie poczucie żalu, swoistej samotności, jakiejś duchowej pustki, która w nas była, poczucie żalu, ogromnego bólu, który nas dotknął, zwłaszcza Polaków, wierzących, ale także wszystkich innych Polaków, ale także nie Polaków, bo mieliśmy możliwość obserwowania jak ludzie za granicą reagują na śmierć papieża i też były to reakcje bardzo głębokie. Zastanówmy się najpierw nad tym wymiarem. Można by powiedzieć tak. Że oto na naszych oczach, za naszego życia — bo wszyscy jesteśmy ludźmi dorosłymi, jeżeli są tu osoby młode, to ich również to dotyczy, chociaż trochę w inny sposób — za naszego życia wydarzył się ogromny cud. Ile razy mogłem, tyle razy państwu podkreślałem to, że sam wybór Jana Pawła II, dokonany 16 października 1978 roku, to był wielki cud. Przypominają sobie państwo zapewne refleksję, którą podejmowaliśmy wiele miesięcy temu ale także wcześniej, śledząc drogę życiową Jana Pawła II, Karola Wojtyły. I tam zwracaliśmy uwagę — myślę, że państwo doskonale to wiedzą — że była to droga życiowa w której Pan Bóg prowadził go za rękę, w której Pan Bóg go wiódł. I droga życiowa gdzie mamy jedno niezwykle wydarzenie po drugim.

Urodzony w Wadowicach, w maju 1920 r., zaledwie kilka miesięcy przed inwazją bolszewicką na Polskę. Dorastał w okresie międzywojennym. Bardzo wcześnie stracił matkę, stracił brata. Również jako nieco ponad dwudziestoparoletni chłopiec wrócił do domu w Krakowie przy ul. Tynieckiej i zastał swojego ojca martwego. Bardzo to przeżył, że nie mógł być przy śmierci swojego ojca, dla młodego Karola był to ogromny wstrząs. On, który po skończeniu szkoły rozpoczął studia polonistyczne, potem przerwał tę polonistykę, pracował w kamieniołomach. Następnie w seminarium, w ukryciu bo przecież w czasach okupacji hitlerowskiej. W 1945 r., kiedy wojska radzieckie weszły do Krakowa, otwarto seminarium już na dobre, wtedy w tym seminarium był obecny. W 1946 r. przyjął święcenia kapłańskie, miał wtedy 26 lat. Przyjął je samotnie. Odprawił mszę świętą w

krypcie św. Leonarda, z najbliższych osób miał tylko swoją ciotkę i ministranta, którym był ks. Mieczysław Maliński, i jeszcze jedna czy dwie osoby. A potem wysłany do Rzymu. W Rzymie za ledwie dwa lata, można by powiedzieć — bardzo krótko i to w latach niesłuchanie trudnych, lata 1946 – 48. Wraca z Rzymu. I zwracałem uwagę państwu na ten szczegół, że wracając z Wiecznego Miasta zostaje wikariuszem w Niegowici. Pozostawił takie wzruszające świadectwo tego, jak to na piechotę szedł od autobusu, który go tam podwiózł w okolice Niegowici. Jak szedł pośród łąnów dojrzewających zbóż. Jak pozostawił — miał wtedy 28 lat – również i takie wspomnienie, które później bardzo długo mu towarzyszyło, papieżowi już. Mianowicie kiedy dotarł na granicę parafii ucałował tę ziemię, na której wśród ludzi miał pracować.

Potem duszpasterz akademicki w Krakowie, doktorat, habilitacja na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Dojeżdżał na KUL z Krakowa. Rozmaicie go tam na KUL-u traktowano. Dzisiaj z perspektywy to się wszyscy przyznają, bo jak jest dobrze to jest dobrze. Ale nie zawsze tak było dobrze, miał kłopoty z zatwierdzeniem habilitacji. Nie wszyscy byli zachwyceni tym, co uczył. Wydawało się, że jest zbyt postępowy. Byli tacy którzy uważali, że może powinien uczyć rzeczy znacznie starszych. Więc też to są elementy, o których wiedzieć trzeba — że droga nie była usłana różami.

Następnie mając za ledwie 38 lat został biskupem. Trzydzieści osiem lat — mówiłem parę miesięcy temu państwu, wspominałem jego własne, papieża, wspomnienia o tym, jak to wiadomość o tym, że został biskupem, zastała go na Mazurach. Przyjeżdża do Warszawy, idzie do kardynała Stefana Wyszyńskiego, który ma mu do zakomunikowania wiadomość, że został biskupem. Kardynał Wojtyła broni się przed tym, mówi że przecież: „Jestem za młody”. Na co prymas wypowiedział te piękne słowa, że „Młodość to jest choroba, z której się szybko leczymy”. I tak został biskupem mając 38 lat. W Krakowie biskupem pomocniczym, bardzo szybko został arcybiskupem, został również kardynałem. Brał udział w Soborze Watykańskim II. Wystarczy popatrzeć na te daty, wystarczy je zestawiać z datami z naszego własnego życia, dopiero wtedy uświadamiamy sobie co to znaczy, jak Pan Bóg go przedziwnie prowadził.

Więc brał udział w Soborze Watykańskim II, reprezentuje Polskę na zewnątrz. Tu w Polsce działał kardynał Stefan Wyszyński, natomiast reprezentantem Kościoła katolickiego poza Polską, od Australii po Stany Zjednoczone i Niemcy był właśnie kardynał Karol Wojtyła. Znany, bardzo ceniony, razem z Prymasem Tysiąclecia wyciągnął ręce do Niemców. To był rok 1965, obaj wypowiedzieli te słynne słowa: „Przebaczymy i prosimy o przebaczenie”. Od II wojny upłynęło za ledwie 20 lat. Zwłaszcza Prymas Tysiąclecia stał się przedmiotem nagonki. Zaczęto wołać: „Jak to! Przebaczyć Niemcom? Każdemu, ale nie Niemcowi!” Wojna była wciąż świeża, wielu Polaków było nią dotkniętych na rozmaite sposoby. Bardzo wielu opłakiwało wciąż swoich bliskich. Zniszczone miasta, zniszczone wsie, zmienione granice Polski. Dobrze wiemy, że tamte czasy były bardzo trudne. A jednak oni odważyli się postawić Ewangelię przed jakimś uczuciem, a przede wszystkim postawić przebaczenie przed zemstą. W 1966 r. obchody tysiąclecia chrztu Polski, i potem niezłomnie kardynał Wyszyński i kardynał Wojtyła obok siebie. Ten drugi w cieniu pierwszego. Tak było do 16 października 1978 roku.

I od tej pory historia dla nas nabrała gwałtownego przyspieszenia, bardzo się zmieniła. Natomiast tydzień po wyborze nowy papież, który przeżywał takie chwile, jakie dzisiaj papież przeżywał ze swoimi rodakami Niemcami — miał dla nich audiencję, tak w tydzień po wyborze audiencję dla Polaków miał Jan Paweł II, i wtedy wypowiedział również te słynne słowa, że „nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego papieża Polaka gdyby nie Twoja, umiłowany Księżu Prymasie wiara, gdyby nie Twoja niezłomność i cały ten etap w długich dziejach Kościoła katolickiego w Polsce, który jest związany z twoją prymasowską i biskupią posługą”. Był to największy hołd oddany Prymasowi Tysiąclecia. A mnie ciśnie się na usta taka myśl, z którą się dzielę. Mianowicie, że kiedy opłakujemy papieża, kiedy będziemy go upamiętniać — również w Warszawie powstaje Instytut Jana Pawła II — to pamiętajmy, że nie byłoby papieża Polaka bez Prymasa Tysiąclecia, bez jego cierpienia, bez jego modlitwy, bez jego wyrzeczenia. Otóż te dwie postacie są ze sobą związane na zawsze, i za życia, i po śmierci. Pamiętajmy, że jeden, Prymas Tysiąclecia, pogrzebany jest tu w Warszawie, w archikatedrze św. Jana. Bardzo serdecznie zachęcam państwa aby od czasu do czasu nawiedzać jego grób, aby pomodlić się tam, aby uświadomić sobie, swoim dzieciom, swoim bliskim, swojej rodzinie. Powiedzcie to swoim dzieciom i wnukom kim był ten wielki człowiek, który nieco pozostawał w

cieniu — role jakby się zamieniły od wyboru Jana Pawła II — ale który nie może pójść w żadnym wypadku w zapomnienie i niepamięć.

Takim najbardziej dramatycznym dla Polski rokiem był rok 1981. Otóż były już plany wprowadzenia stanu wojennego, i należało wyeliminować i jednego i drugiego. O tym się bardzo rzadko i niechętnie mówi. Kardynał Wyszyński był bardzo ciężko chory. I wrogowie Kościoła dobrze wiedzieli, że jego czas jest policzony. Postanowiono zatem właśnie w tym czasie, kiedy kardynał Wyszyński już bardzo ciężko chorował, wyeliminować tzn. po prostu zabić Jana Pawła II. I 13 maja 1981 r. na Placu św. Piotra rozległy się strzały. Były to strzały w papieża i były to strzały w Polskę. Otóż tego też musimy być świadomi, że gdyby papież nie był Polakiem, nie byłoby tych strzałów do niego. Ktokolwiek je zorganizował, ktokolwiek je zrobił — czy to był trop bułgarski, czy rosyjski, czy turecki, czy Bóg wie jaki — nie ma to większego znaczenia. Mocodawcy tych strzałów, tego zabójstwa ostatecznie chcieli ugodzić w naszą ojczyznę. Kiedy Ojciec Święty przeżył szczęśliwie ten zamach, to — przypominam również państwu i ten epizod — na dzień przed śmiercią kardynała Stefana Wyszyńskiego poprosił, żeby go połączono telefonicznie z Prymasem Tysiąclecia. Ksiądz prymas Wyszyński leżał śmiertelnie chory u siebie, w Pałacu Prymasowskim na ul. Miodowej. Okazało się, że przy łóżku nie ma telefonu, trzeba było założyć telefon. Prymas i jego najbliższe otoczenie nie chcieli, żeby przyszedł pierwszy - lepszy technik, bo bali się, że założą podsłuchy. Potem się okazało, że i tak podsłuchy były. Więc jakoś domowym sposobem przedłużono tę linię telefoniczną i odbyła się rozmowa dwóch ludzi, z których jeden umierał a drugi był bardzo ciężko chory, bardzo ciężko postrzelony. Ta rozmowa, tylko strzępy słów, jeden drugiemu wyznawał swoją wdzięczność, swoją wierność. Nazajutrz, 28 maja 1981 r. kardynał Wyszyński zmarł. Na szczęście Jan Paweł II przeżył. Ale dobrze wiadomo, że skutki tego zamachu trwały przez całe jego życie. To właśnie dlatego Ojciec Święty cierpiał tak bardzo, bo także ten zamach nie pozostał bez echa, nie pozostał bez wpływu i odezwał się zwłaszcza od początku lat 90-tych, kiedy to trzeba było zrobić jeszcze jedną operację Ojcu Świętemu. I ta operacja, mówiąc delikatnie, się nie udała. I trzeba nam wiedzieć, że od połowy lat 90-tych nasz papież bardzo cierpiał. Miał kłopoty z biodrem, kłopoty z chodzeniem, kłopoty z równowagą.

I kiedy, mniej więcej od roku dwutysięcznego, stan zdrowia jeszcze bardziej się pogorszył, to Ojciec Święty cierpiał bardzo. Czasami to cierpienie było widać na jego twarzy. Czasami w jego zachowaniu. Czasami nie wytrzymał, można by powiedzieć — czasami wręcz do pewnego stopnia tracił przytomność, ale trwał wszędzie tam, gdzie go Pan Bóg postawił. Przypomnijmy choćby takie wzruszające momenty, jak podczas audiencji w Auli Pawła VI mniej więcej półtora roku temu. Ojciec Święty czytał tekst po włosku i w pewnym momencie tak mocno go zabolalo, że wołał po polsku „Jezus, Maria”. Więc zawsze cierpiał po polsku. Zawsze cierpiał w języku swojej matki, tak jak Zbawiciel. Też Watykan, te mury nasłuchiwały się na pewno skarg papieża, zanoszonych do Pana Boga wtedy, kiedy bolało za mocno. Stan zdrowia Ojca Świętego, jak dobrze wiemy, w ostatnich miesiącach stale się pogarszał. Problem polegał na tym, że może nie chcielibyśmy tego dopuścić do siebie. Nie chcieliśmy się z tym w jakiś sposób pogodzić, nie chcieliśmy oswoić się z tą myślą. Może wydawało się nam, że jeszcze będzie to trwało. Ja sam muszę wyznać, że kiedy w Poniedziałek Wielkanocny poleciałem do Rzymu, wylądowałem na lotnisku i tam wyjechali po mnie i wzięli do Instytutu Polskiego i spotkałem się z księżmi, którzy są w Rzymie na miejscu. I mówię im, że widzieliśmy wczoraj, czyli w Wielkanoc, Ojca Świętego, jak bardzo cierpi, i że odnoszę wrażenie, że to już jest człowiek, który jest jedną nogą na drugim świecie. A mieszkający w Rzymie mówią: „Ale gdzie tam! Papież raz czuje się lepiej, raz czuje się gorzej. Jeszcze niejednym świat zadziwi. Jeszcze na pewno będzie dobrze, jeszcze pojedzie do Kolonii.” Otóż takie komentarze mieliśmy u siebie i takie komentarze były w świecie. Ciągłe ta nadzieja, że papież z tego wszystkiego wyjdzie. Ale kiedy przypatrywaliśmy się bardzo wnikliwie temu, co się stało, z jakimś wielkim współczuciem, to zdawaliśmy sobie sprawę, że stan Ojca Świętego jest coraz cięższy.

Nie sposób mówić o wszystkim. Zwróć uwagę państwa na te rzeczy, które wydają mi się szczególnie ważne. Otóż po pierwsze pontyfikat Jana Pawła II to jest pontyfikat papieża słowianina. Proszę zwrócić uwagę, że już w Rzymie i w Stolicy Apostolskiej zaczyna się zmieniać, bo już język polski, i język słowiański nie są tak obecne — i to jest zrozumiałe, nie możemy się na to dąsać, bo to jest naturalne — jak były obecne za pontyfikatu Jana Pawła II. Ja z tych wspomnień, które mi się nasuwają, przypominam sobie taki epizod kiedy to pojechałem do Watykanu będąc jeszcze

prorektorem Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, żeby prosić Ojca Świętego o przyjęcie doktoratu honoris causa naszej uczelni. I czekając na przyjście Ojca Świętego rozmawiałem z arcybiskupem Dziwiszem. Podprowadził mnie do okna tego Pałacu Apostolskiego, który widzimy z Placu św. Piotra. I patrzyliśmy razem na plac. Dla mnie była to jedna z nielicznych możliwości, żeby popatrzeć na Plac św. Piotra z Pałacu Apostolskiego. I tak staliśmy we dwóch patrząc na to, co jest przed nami, a pewnym momencie arcybiskup Dziwisz — jeszcze wtedy biskup — powiedział: „Widzisz, nigdy te mury, w których jesteśmy, te mury Pałacu Apostolskiego nie słyszały tyle po polsku. Nigdy — od czasu, jak stoją. Dopiero teraz przez te dwadzieścia z górą lat mówi się tutaj, myśli, modli po polsku.” To było bardzo wzruszające. Ten etap również się skończył. Kiedy patrzymy na Pałac Apostolski, to już tej polskiej modlitwy, polskiej obecności jest tam mniej. Więc z tego punktu widzenia jest to coś absolutnie wyjątkowego, jest to historyczne dla naszej ojczyzny.

Drugi aspekt, na który zwracam uwagę, to jest ogromna aktywność, działalność Ojca Świętego Jana Pawła II. Otóż Jan Paweł II był człowiekiem czynu. Można by powiedzieć, że działanie go wręcz trawiło. On nie potrafił ot tak sobie posiedzieć, on musiał coś robić. I rzeczywiście, po ludzku biorąc pracował ponad ludzkie siły. Wstawał bardzo wcześnie rano. W tym było bardzo dużo życia modlitwy, dużo życia kontemplacji. W tym było dużo spotkań. I oczywiście pośród tej działalności na plan pierwszy wysuwają się jego pielgrzymki apostolskie. Odbył tych pielgrzymek apostolskich 104. Dlatego na całym świecie jego twarz była znana. Na całym świecie wiedziano, kto jest papieżem. Na całym świecie wiedziano, jak wygląda. I kiedy chorował, kiedy cierpiał, a przede wszystkim kiedy umarł, ludzie szczerze płakali. Nie tylko w Polsce, nie tylko we Włoszech, gdzie najbliżej — ale w odległych rejonach świata można było w rozmaitych międzynarodowych serwisach informacyjnych zobaczyć zapłakanych ludzi, którzy szczerze go kochali dlatego, że był to papież którego działalność była blisko człowieka. On kładł mniejszy nacisk na jakieś teologiczne pogłębianie rozmaitych prawd, natomiast ogromny nacisk na żywy, bezpośredni kontakt z człowiekiem. Ci, którzy mieli szczęście być blisko papieża, wiedzą, że popatrzył na człowieka przez sekundę albo dwie, i miało się wrażenie, że przez ten czas jest cały dla tego, z którym wchodzi w kontakt. Oczywiście ten kontakt, te miliony ludzi, zrobiły również swoje i papież musiał z konieczności być tym zmęczony. Bo bez przerwy wystawiony na kamery telewizyjne, na mikrofony, na rozmaite najnowocześniejsze środki przekazu, i bez przerwy spotyka się z ludźmi. Można by powiedzieć, że nieustannie spalał się w tej działalności. Nie będzie papieża za naszego życia na pewno, który by powtórzył to, czego dokonał Jan Paweł II — mianowicie odbył kolejne 104 podróże apostolskie. To jest niemożliwe.

Jeden był Apostoł Paweł, w początkach chrześcijaństwa, absolutnie niedościgniony. I jeden jest Jan Paweł na przełomie XX i XXI wieku. Może kiedyś w Kościele będzie ktoś, kto mu dorówna. Ale my tego na pewno nie doczekamy.

Drugi wymiar, to nauczanie. Ojciec Święty nauczał od samego początku. Od samego początku wygłaszał ciepłe, serdeczne przemówienia w których odchodził od tekstu i dawał wyraz temu, co czuje, i temu, kim jest. Przypominamy sobie jego pierwsze wystąpienie i jego pierwsze słowa na Placu św. Piotra, które skierował do Rzymian mówiąc: „Przybyłem do was z dalekiego kraju”. Wtedy Polska była daleko od Rzymu, dzisiaj już nie. Odległość geograficzna jest ta sama, ale odległość psychologiczna i duchowa jest dużo mniejsza. I to zawdzięczamy Janowi Pawłowi II. Ujmował ludzi swoim nauczaniem, bo umiał zwracać się i do małych, i do młodzieży, i do dorosłych, i do starców. Uczył wszędzie, gdziekolwiek było to możliwe. Uczył bardzo wiele. Jego przemówienia, jego nauczanie jest również wydawane po polsku. Ale do tej pory wydano zaledwie całość nauczania Jana Pawła II do roku 1985. Natomiast następne 20 lat — jeszcze tego po polsku nie mamy. To nam również pokazuje na pewne zapóźnienia, które trzeba by koniecznie przezwyciężyć. Więc jeżeli ktoś chce poznać nauczanie Jana Pawła II, to jest pół biblioteki, to jest kopalnia wiadomości.

Czytał, uczył, nauczał, dawał świadectwo wierze na rozmaitych kontynentach, w rozmaitych miejscach. Stawał wobec wielkich tego świata, wobec małych tego świata. Potrafił rozmawiać i z wielkimi, poczynając od Regana przez Gorbaczowa. I z małymi — kiedy przytulał do siebie małe dzieci, kiedy brał je w ramiona. Czy kiedy przytulał do siebie czy całował młodzież albo ludzi chorych, trędowatych, postawionych na marginesie itd. Kiedy był w Brazylii i nauczał o ubóstwie, w pewnym momencie zawieszono go na fawelę w Rio de Janeiro. A Jan Paweł II zdjął pierścień i podał tym biednym jako znak swojej z nimi solidarności. Nauczał więc nie tylko słowami, ale nauczał zupełnie spontanicznie. Dobrze znamy niektóre te obrazki, które bardziej przemawiają

do wyobraźni niż najlepsze przemówienia. Jak to, jak gdzieś tam bierze dzieciaka i ukrywa pod sutanną i ten dzieciak radośnie wybiega. Jak to kiedy w Częstochowie murzynka podbiega do niego przełamując ochronę i on ją do siebie przytulił, itd. itd. Jak ludzie trędowaci w Indiach, kiedy udał się z siostrą Teresą z Kalkuty do leprozorium i kiedy szli tam między tymi trędowatymi — to niezapomniany obrazek dla Hindusów, którzy dobrze wiedzą z jakim ryzykiem związana jest taka obecność. Nauczał bardzo wiele. Otwierał się wobec wszystkich i każdego. Można by powiedzieć, że i nam przychodzi do głowy ta myśl i to pytanie: „Skąd u niego ta mądrość?” Przecież tylko kilka lat, i to w okresie okupacji, był w seminarium. Tylko dwa lata był na studiach. A potem gdzie i jak nabywał tej mądrości, którą się dzielił? Do tego nauczania oficjalnego dodajmy jego książki, jego poezje, jego zwierzenia, jego wywiady, jego odpowiedzi udzielane najrozmaitszym ludziom — również dziennikarzom — wszystko to jest ogromne bogactwo.

Ale nad działalnością i nad nauczaniem w moim przekonaniu dominuje modlitwa. Ojciec Święty Jan Paweł II był człowiekiem ogromnej modlitwy. Kiedy mogliśmy na niego patrzeć, to był całkowicie w modlitwie pogrążony. Tak było od samego początku jego życia. To też jest dziwne. Dziwne bo dobrze wiemy, że zwłaszcza w naszej polskiej sytuacji modlitwa nie jest specjalnie naszym przymiotem. Nie mamy czasu na modlitwę, zwłaszcza kiedy jesteśmy młodzi. Może kiedy dorostajemy, kiedy jesteśmy starsi, to również i zapatrywania na modlitwę się zmieniają. Natomiast Karol Wojtyła, potem Jan Paweł II, wspominał, że jego pierwsza szkoła modlitwy to własny ojciec. „Ile razy wracałem w nocy, późnym wieczorem do domu, to zastawałem ojca na modlitwie” wyznawał Karol Wojtyła i Jan Paweł II. Ten przykład ojca musiał być dla niego bardzo budujący. Ojciec wziął go na Jasną Górę, ojciec brał go na ścieżki Kalwaryjskie do Kalwarii Zebrzydowskiej, ojciec brał go do kościołów Krakowa i tam, przy ojcu, uczył się szkoły modlitwy. A kiedy później był już księdzem to obok tego wszystkiego, co robił, ważne miejsce zajmowała modlitwa. A kiedy został papieżem, modlitwa była na pierwszym miejscu. Przed każdą mszą świętą rano bardzo długo był pogrążony w modlitwie. Msza — to również modlitwa i kontemplacja. Na modlitwie zyskiwał siły. Modlitwa towarzyszyła mu we wszystkich okolicznościach jego życia. Z modlitwą kończył swój dzień i widać było, że to jest człowiek modlitwy. Kiedy patrzymy na niego to widzimy, jak doskonale połączenie życia czynnego i tej działalności pośród milionów ludzi, w obliczy setek i tysięcy kamer, a jednocześnie ten duch kontemplacji i modlitwy.

A to wszystko spinała klamra cierpienia — i to jest kolejny wymiar. Drodzy państwo, nie było w Kościele czasów nowożytnych pontyfikatu, który był by tak naznaczony cierpieniem, jak pontyfikat papieża Polaka. Naznaczony cierpieniem jeszcze wtedy, kiedy papieżem nie był. Bo przecież kiedy dziecko traci matkę, kiedy dziecko traci brata, kiedy młody człowiek traci ojca, zostaje zupełnie sam — to jest to cierpienie. Kiedy później wspominał swoje życie, to był od siebie bardzo wymagający. Napisał w jednym ze swoich zwierzeń, że Pan Bóg mu zawsze cierpienia oszczędzał — co nie do końca było prawdą. Natomiast zawsze zastanawiał się dlaczego jest tak, że inni cierpią, a on nie. I że trudno mu było zbliżyć się do chorych i cierpiących. Okazało się jednak, że nazajutrz po wyborze na papieża musiał opuścić Stolicę Apostolską, Pałac Apostolski, i udał się do kliniki Gemelli aby odwiedzić swojego przyjaciela, który był po wylewie krwi do mózgu. Żyje do dzisiaj ksiądz kardynał Deskur. Nowo wybrany papież go odwiedził. Był bardzo przejęty tym, co zobaczył, bo kardynał Deskur był jednym z najlepiej zapowiadających się polskich kardynałów. A potem trzynastego maja — zamach życie na Ojca Świętego, cierpienie z tym związane, widok papieża na łóżku szpitalnym. Po raz pierwszy w historii papieżstwa była taka fotografia. A później kilka operacji. Naliczono ich około dziesięciu. Dziesięć pobytów w szpitalu, z których każdy coraz cięższy i coraz trudniejszy, coraz bardziej naznaczony cierpieniem. Mówiliśmy o tym parę tygodni temu odnosząc do papieża owe strofy z „Pieśni o Słudze Pańskim”, że tak jak gdyby Pan Bóg zlał na niego, złożył na niego winy nas wszystkich. I papież to wszystko na swoich barkach niósł. Cierpiał bardzo. Dzisiaj po śmierci możemy to powiedzieć, i mówią to również najbliżsi, że trudno spotkać człowieka, który by tak cierpiał, jak Jan Paweł II. Otóż ta nie do końca udana operacja biodra spowodowała, że Ojciec Święty przez cały czas odczuwał dotkliwy ból. Do tego pogłębiająca się choroba uniemożliwiała mu normalne oddychanie tak, że już pod koniec życia miał kłopoty. Trzeba było zrobić ten bardzo nieprzyjemny zabieg tracheotomii. Ale dużo wcześniej papież już cierpiał. I to też powinniśmy wiedzieć. Swoje cierpienie oddawał zawsze za Kościół, za bliskich. Nikomu nie pozwalał, żeby mu współczuli. Nikomu nie pozwalał, żeby użalał się nad nim. Zawsze było tak, że

był w dyspozycji, był dostępny, był otwarty, do samego końca pozostawał razem z całym Kościołem i razem z nami. Myślę, że nad tym wszystkim w ostatnim okresie życia Jana Pawła II dominują dwa obrazy. Te dwa utkwiły również bardzo w mojej pamięci. Jeden to jest obraz papieża z Drogi Krzyżowej sprawowanej w ostatni Wielki Piątek jego życia. Drogi Krzyżowej, której treść ułożył kardynał Ratzinger i która odbywała się jak co roku w Koloseum w Rzymie. Już nie pokazywano jego twarzy, natomiast Ojciec Święty patrzył w ekran telewizora, na którym ta Droga Krzyżowa się posuwała, i na ostatnie dwie stacje podano papieżowi krzyż. Możemy tylko się domyślać, że brał udział w tej Drodze Krzyżowej resztkami sił, widać to było. Każdy, kto odrobinę zna ludzi chorych, to czuł to. Jeżeli się nie pokazuje twarzy papieża to wiadomo, że była to twarz pełna bólu. Powiedziano — ci, którzy byli przy śmierci Ojca Świętego Jana Pawła II, bezpośrednio po tym powiedzieli, że nigdy nie widzieli jeszcze twarzy, która by była tak napełniona bólem, jak jego twarz. Dopiero kiedy przyszła śmierć, to Ojciec Święty na twarzy się uspokoił i widać było, że śmierć stanowiła dla niego wyraźną ulgę. A mimo to przecież się nie skarżył. Więc ten koniec jego życia był niesłychanie bolesny. Najwidoczniej Pan Bóg dla powodów, których nie znamy, a wiele razy o tym mówiliśmy — także na tych konferencjach, potrzebuje cierpienia ludzi sprawiedliwych, potrzebuje cierpienia ludzi niewinnych. I taka właśnie scena, taki epizod, taki ból rozegrał się także na naszych oczach, można by powiedzieć — na oczach całego świata. I trzeba nam to mieć również w pamięci. To jest jeden obraz, ta droga wielkopiątkowa i papież, który obejmuje krzyż. Pamiętajmy, że za osiem dni już nie żył, a w Wielki Piątek ten krzyż obejmuje tak, jakby chciał dopowiedzieć gestem to, czego nie mógł wypowiedzieć słowami.

I druga najbardziej dramatyczna chwila tego pontyfikatu. Kto wie czy nie bardziej dramatyczna, niż zamach na życie papieża. To ostatnie wielkanocne błogosławieństwo Urbi et orbi, ostatnia Niedziela Zmartwychwstania. Państwo dobrze to pamiętają dlatego, że ten widok był niesłychanie bolesny. Kto oglądał transmisję pod koniec wielkanocnej mszy świętej to musiał sobie uświadomić, że oto jesteśmy świadkami straszliwego dramatu. Papież, który chciał coś powiedzieć, który chciał wypowiedzieć słowa wielkanocnego błogosławieństwa, który chciał skierować do świata to, czym żył przez całe swoje życie i przez ponad ćwierć wieku pontyfikatu, uświadomił sobie, że nie powie ani jednego słowa. I ta twarz pełna bólu. Ten człowiek, który chce wypowiedzieć chociaż jedno słowo do milionów ludzi, którzy patrzą — to było naprawdę bardzo dramatyczne. Nawiązał również do tego kardynał Ratzinger zarówno na pogrzebie, jak i po swoim wyborze, przemawiając do kardynałów, którzy brali udział w konklawe, jak i podczas mszy świętej intronizacyjnej wczoraj. To było naprawdę bardzo poruszające. Na drugi dzień oglądałem włoskie gazety, w których pokazywano fotografię twarzy papieża — papież jeszcze żył. Można było mieć nadzieję, że być może stan jego zdrowia się poprawi. Ale widać było ten przeogromny ból. Nikt do tej pory tak na oczach świata nie odchodził!

A potem kilka dni już jego powolnego konania, powolnej agonii. Pokazano go raz jeszcze w środę, na trzy dni przed śmiercią, w oknie Pałacu Apostolskiego. I to był ostatni raz, kiedy się ukazał. Potem państwo znają z doniesień, które były w naszych środkach przekazu — ja znam z doniesień, które były w egipskich środkach przekazu, we francuskich i włoskich — i trzeba powiedzieć, że już wtedy będąc za granicą mieliśmy świadomość, że Ojciec Święty odchodzi, że rozpoczęła się na dobre trwająca 2 - 3 dni agonია, wielkie konanie papieża. Przypomniało nam się to, co papież jako kardynał Wojtyła mówił podczas swoich rekolekcji, które miał w Watykanie dla Pawła VI. Jako temat tych rekolekcji wybrał konanie w Ogrójcu, wybrał agonię Chrystusa. Podkreślał właśnie to wielkie cierpienie Chrystusa. Tak się nam skojarzyło, że musiał potem sam przez tę samotność w odchodzeniu przejść. Musiał przejść przez ten los, który był losem Zbawiciela. I te ostatnie dni pełne napięcia i jednocześnie pełne głębokiego zawierzenia Panu Bogu. Żegnał się z tymi wszystkimi, którzy byli najbliżej. Dopuszczony do Ojca Świętego — ponieważ stan był coraz cięższy — został tylko kardynał Ratzinger — to też jest wymowne. I kardynałowi Ratzingerowi, o czym zaświadczyają ci, którzy tam byli, Ojciec Święty jeszcze po niemiecku wypowiedział swoje „danke”, „dziękuję” za tę posługę którą kardynał Ratzinger przy nim przez wiele lat pełnił.

Do tego dodajmy jeszcze jeden wątek. Mianowicie wątek arcybiskupa Stanisława Dziwisza. Ten człowiek pozostał od początku do samego końca papieżowi wierny. Nigdy siebie nie eksponował, nigdy siebie nie stawiał na pierwszym miejscu. Był zawsze w cieniu, zawsze drugi, zawsze obok — i tak już pozostało. Kiedy — pamiętają to państwo — w naszej telewizji parę lat temu raz jeden

udzielił wywiadu i zapytano go jaka jest jego rola, jaki on ma wpływ. A on odpowiedział, że: „Moja rola to jest być zawsze z tyłu, i być zawsze obok”. I tak pozostało, że był zawsze z tyłu i był zawsze obok. I to on był przy śmierci Jana Pawła II i on, można by powiedzieć po ludzku, wyprawił Ojca Świętego na drugi świat — za co niech Pan Bóg również dla niego będzie nagrodą. Byli ci, których Ojciec Święty uznawał za najbliższych przyjaciół: ks. Tadeusz Styczeń, a także kardynał Mirosław Jaworski, który jest arcybiskupem Lwowa i który na kilkanaście godzin przed śmiercią przyjechał do Watykanu i tam wiernie przy papieżu do samego końca był.

Muszę państwu powiedzieć, że jeżeli chodzi o moją osobistą perspektywę, osobiste przeżycia, to były to jedne z najtrudniejszych dni w życiu. Człowiek żegna czasami, przechodzą osoby które przechodzą na drugi świat — poczynając od najbliższych. Bo już pożegnałem swoją mamę, swojego ojca, swoich bliskich, kolegów również trzeba było pochować. Również osoby z parafii, z jednej, drugiej, trzeciej, gdzie człowiek był bardzo przywiązany. I można by powiedzieć, że my księża jesteśmy nawykli do pogrzebów i nawykli do śmierci, bo dla nas jest to rzeczywistość taka, może jak poniekąd dla lekarza. Ale to, co wydarzyło się w sobotę 2 kwietnia przeżywalismy, i ja też przeżywałem, niesłuchanie dramatycznie. Otóż 2 kwietnia — inaczej, w nocy z pierwszego na drugiego kwietnia ta grupa kapłanów była na Synaju na Górze Dziesięciu Bożych Przykazań. Mieliśmy świadomość, że stan zdrowia Ojca Świętego pogarsza się coraz bardziej. Wiedzieliśmy, że lada moment, lada godzina może przyjść wiadomość, że Ojciec Święty nie żyje. Więc będąc na Synaju wieczorem w sobotę włączyliśmy, był tylko jeden telewizor, właśnie w moim pokoju. Ale problem polegał na tym, że była tam tylko telewizja francuska, kanał 5. Reszta to były telewizje arabskie. Ponieważ obawialiśmy się, że telewizje arabskie będą działały z pewnym opóźnieniem, bo dla nich to może nie być sprawa numer jeden — aczkolwiek była — to mieliśmy włączoną telewizję francuską. O 9 wieczorem wiadomości: stan zdrowia Ojca Świętego jest bardzo ciężki. O 10 wieczorem wiadomości: stan zdrowia Ojca Świętego jest bardzo ciężki. Natomiast najprawdopodobniej parę minut później, bo wyłączyłem telewizor, podano wiadomość o śmierci Ojca Świętego.

Dodam też państwu jeszcze jeden szczegół. Dzisiaj mówi się o tym, że prasa się znakomicie spisała, że gazety, że środki przekazu itd. Ale przed śmiercią nie było wszystko takie różowe. Trzeba nam było przelić takie dość gorzkie pigułki. Dam tylko jeden przykład. W piątek przed śmiercią papieża pokazywano w doniesieniach telewizji francuskiej, a wcześniej włoskiej, tytuły gazet. I w jednej wielki tytuł „Ciao Karol” — „cześć Karol”. To było na 24 godziny przed śmiercią. Więc widać było, że akcje części prasy, części gazet były, mówiąc delikatnie, brutalne i nieładne. Ale to zostawiamy na razie na boku, bo pokazuję państwu jakie uczucia nami miotają.

Więc w sobotę wieczorem żeśmy jeszcze nie wiedzieli, że Ojciec Święty zmarł, bo nie było zasięgu telefonów komórkowych a telewizja wyłączona. I na drugi dzień, w niedzielę rano odprawiliśmy o godz. 7, a tam jest czas taki sam jak w Polsce, mszę świętą. Kiedy doszliśmy w kanonie do „Módlmy się za papieża Jana Pawła”, wypowiadaliśmy te słowa z ogromną obawą, z lękiem. Jeszcze nie wiedzieliśmy, że papież nie żyje, ale bardzo chcielibyśmy, żeby żył. Potem po mszy świętej jakieś niewielkie śniadanie, wsiedliśmy w autokar i ruszyliśmy w kierunku granicy z Izraelem. Kiedy przejechaliśmy parę kilometrów, jest lotnisko. I przy tym lotnisku na Synaju zadziałały telefony komórkowe. I w pewnym momencie jeden z tych telefonów — to był telefon rektora Papieskiego Instytutu Polskiego — sygnał, że jest sms. On wziął, przeczytał, podał mi ten telefon do ręki. Tekst: „Ojciec Święty nie żyje. Zmarł o 21.37”. Przeczytałem to ze dwa - trzy razy po cichu, żeby się niejako upewnić i oswoić z myślą, czy będę coś w stanie głośno powiedzieć. I następnie do mikrofonu podałem tę wiadomość księżom. Mogą sobie państwo wyobrazić, jaka zaległa cisza i co to dla nas oznaczało. Z jednej strony za oknami Synaj, góry Dziesięciu Bożych Przykazań, ziemia Mojżesza. Z drugiej strony byliśmy parę tysięcy kilometrów od Polski, od Rzymu. I świadomość, że oto Ojciec Święty nie żyje. Potem różaniec za papieża i dalsza droga. Były to bardzo ciężkie chwile. Dodam jeszcze — mówię to bez jakiegó egzaltacji ale też chcę, żeby państwo to wiedzieli, bo to jest bardzo ważne — spojrzalem na zegarek, była godzina za pięć minut dziewiąta. Pomyślałem sobie, że właśnie teraz tu, w naszym kościele, w górnym kościele gromadzą się wierni na mszę świętą. Pomyślałem sobie, że chyba najbardziej w życiu chciałem być wtedy tutaj, pośród tych ludzi, pośród wiernych, pośród państwa, z którymi co niedziela się spotykamy. Tak sobie pomyślałem nad tą przedziwną obecnością tam na Synaju, że na pewno tego dnia byłoby bardzo trudno odprawić mszę świętą i na pewno nie byłoby żadnej homilii. Na pewno byłby taki zwyczajny ludzki płacz,

który by tę homilię zastąpił. Byliśmy jednak na Synaju.

Przyznam że kiedy patrzę na to z perspektywy trzech tygodni, to nasza obecność na Synaju, a potem w Ziemi Świętej też była bardzo wymowna. Bo oto modliliśmy się za Ojca Świętego właśnie w miejscach świętych. Modliliśmy się tam, gdzie on był albo gdzie on chciał być, i modliliśmy się tam, gdzie był Chrystus. A więc msza święta w Getsemani w Ogrójcu, msza święta na Kalwarii w pustym Grobie, była msza święta w Nazarecie, była msza święta w Betanii, była msza święta na Górze Błogosławieństw. Ale chyba najbardziej wzruszające i najbardziej dramatyczne dla nas chwile to były chwile pogrzebu papieża. Mianowicie bardzo chcieliśmy ten pogrzeb zobaczyć. Poprosiliśmy Żyda, właściciela hotelu Eden w Tyberiadzie, żeby nam to umożliwił. I trzeba powiedzieć, że podszedł z wielką życzliwością. Zadbał o telewizor z bardzo dużym ekranem. A ponieważ w Ziemi Świętej jest godzina różnicy czasu, tam była już 11, pogrzeb zaczynał się o 10, więc mogliśmy rano odprawić mszę świętą na Górze Błogosławieństw, zobaczyć Kafarnaum. Przyjechaliśmy do hotelu i oczywiście najbardziej dramatyczny moment to był wtedy, kiedy trumna z ciałem Jana Pawła II została wyniesiona z Bazyliki Świętego Piotra na plac. I ten kontrast między placem i tą skromną trumną i świadomością że jest to trumna z ciałem papieża. I my tam w Tyberiadzie, 46 wtedy księży, żeśmy to oglądali. Kiedy transmisja się skończyła natychmiast pojechaliśmy autokarem do Kościoła Prymatu Piotra, tego kościoła, który upamiętnia epizod nadania Piotrowi władzy pasterskiej: „Czy ty Mnie miłujesz? Czy ty Mnie miłujesz więcej, aniżeli ci?” I kiedy trumna z ciałem Jana Pawła II była składana do ziemi, i przy tym czuwał arcybiskup Dziwisz, to ta grupa polskich kapłanów modliła się tam nad Jeziorem Galilejskim. Jezioro było tego dnia bardzo rozszalałe, fale były do pół metra, bardzo wysokie. I myśmy stali nad tymi falami i przy tej skale piotrowej, i tak myśleliśmy — z jednej strony ta grupa polskich kapłanów, Tyberiada, Jezioro Galilejskie. Z drugiej strony papież gdzieś tam w podziemiach Bazyliki Świętego Piotra powierzany ziemi. Pomyśleliśmy sobie, że może to jest tak, że Pan Bóg chciał, żeby ta grupa polskich księży w tym czasie nad Jeziorem Galilejskim była obecna i żebyśmy to przeżyli. A kiedy później, po jakiejś dobrej godzinie modlitwy pojechaliśmy na Jezioro Galilejskie, żeby popłynąć statkiem po Jeziorze, to proszę sobie wyobrazić, że żydowska załoga tego statku nagle, kiedy tylko weszliśmy, zawiesiła polską flagę, podnieśli ją na maszt. I w pewnym momencie, kiedy statek ruszył, puścili z taśmy hymn polski — na Jeziorze Galilejskim! Jakaś przedziwna zbieżność tak, że mogliśmy także i w tym dopatrzeć się jakiejś Bożej obecności i jakiegoś znaku również z dla nas. I to Jezioro Galilejskie, ta muzyka głośna — zagrany hymn polski, ta polska flaga, i świadomość, że tam w Wiecznym Mieście Jan Paweł II zakończył swoją ziemską wędrówkę.

Można by o tym mówić bardzo wiele. Przejdę tylko do jednego wątku — być może rozwiniemy go na następnym naszym spotkaniu. Mianowicie do wątku wyboru nowego papieża. Myślę, że czują państwo to samo, co ja. Mianowicie, że kardynał Joseph Ratzinger, który sprawował pogrzeb Jana Pawła II i wygłosił homilię pogrzebową, dał poznać światu, Kościołowi, także nam, swoją miłość i swoje przywiązanie do Jana Pawła II. Taką homilię może wygłosić tylko człowiek, który kocha, człowiek, który czuje. Człowiek, który myśli sercem. Takiej homilii nie da się jakoś przygotować, napisać, taka homilia rodzi się gdzieś we wnętrzu człowieka. Otóż kardynał Ratzinger wypowiadając tę homilię osnuł ją wobec słów „Ty pójdz za Mną”. To są słowa znad Jeziora Galilejskiego. I powtórzył je w swojej homilii siedem razy. To nie jest przypadek! Kardynał Ratzinger jest wybitnym teologiem, mądrym, głębokim człowiekiem, człowiekiem wielkiej modlitwy. Wybrał te siedem razy i powtarzał siedem razy, żeby podkreślić pełnię Bożego powołania i pełnię ludzkiej odpowiedzi Jana Pawła II. A przemawiał z taką serdecznością, że trzeba nam do tej homilii wracać zawsze. Trzeba ją gdzieś znaleźć wydrukowaną, trzeba ją sobie włożyć na co dzień. Może kiedy przyjdą jakieś chwile trudne albo bolesne, może kiedy przyjdzie jakaś choroba albo trudny czas, żeby sięgnąć po tę homilię, bo ta homilia jest prawdziwym majstersztykiem duchowości biblijnej i teologicznej. „Ty pójdz za Mną” — powtarzał kardynał Ratzinger odnosząc to do Jana Pawła II. I po kolei rozważał, jak Ojciec Święty poszedł za Chrystusem i co to dla niego znaczyło. Również nawiązał do tego epizodu wielkanocnego, do tego epizodu wielkiego cierpienia. Otóż na kardynale Ratzingerze to cierpienie papieża zrobiło ogromne, niezatarte wrażenie. I pamiętamy, że pod koniec homilii wypowiedział słowa pełne wiary — można by powiedzieć: dziecięca ufność. Była to taka homilia, jak modlitwa dzieci, które modlą się: „Aniele Boży, Stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój”. I kardynał Ratzinger, człowiek 78-letni, wybitny teolog, wypowiedział z prostotą takiej prawdziwej

wiary słowa, że oto teraz czuje, że Jan Paweł II patrzy na nas jak niegdyś ze swojego okna, że się uśmiecha i że nam wszystkim błogosławi. I tymi słowami wypowiedzianymi pod koniec swojej homilii pogrzebowej oczywiście podtrzymał nadzieję. Podtrzymał przekonanie i pewność że to, co się wydarzyło, to nie jest osamotnienie. Do tego wątku nawiązał również papież Benedykt XVI wczoraj podczas swojej mszy świętej intronizacyjnej, kiedy podkreślił, że Kościół nigdy nie jest sam, i nie był sam także wtedy, kiedy umierał a przedtem cierpiał Jan Paweł II. Ta homilia wczorajsza jest też bardzo przejmująca i też zachęcam państwa, żeby do niej sięgnąć. Może rozważymy ją na naszej następnej konferencji, bo ona na pewno na to zasługuje.

Więc kardynał Ratzinger dał dowód swojej wielkiej miłości do papieża. Powiem państwu szczerze, że jeżeli o mnie chodzi — a myślę że i z polskiej perspektywy szerzej — to wybór, którego dokonali kardynałowie, jest najlepszy z możliwych. To znaczy paradoks polega na tym, że gdyby przed pontyfikatem Jana Pawła II powiedział ktoś, że papieżem by został Niemiec, to nie mielibyśmy powodów do radości. Powiedzmy sobie jasno, że w stosunkach polsko - niemieckich, naznaczonych zwłaszcza I, II wojną światową, milionami ofiar, zniszczeniami, ruiną, katastrofą, zagładą, Powstaniem Warszawskim, zburzeniem naszej stolicy, innych miast, zmianą granic, przemieszaniem ludności, deportacjami itd., że w tych stosunkach nagromadziło się bardzo wiele krzywdy, bardzo wiele zła. Że odczuwamy to jeszcze po dzień dzisiejszy. Że jeżeli po Janie Pawle II, Polaku, został wybrany Benedykt XVI, Niemiec, to jest to dzieło papieża Polaka, dzieło jego osoby, jego świętości, jego pontyfikatu. Bez Jana Pawła II nie byłoby Benedykta XVI. Jestem przekonany, że Benedykt XVI o tym wie jeszcze mocniej, jeszcze głębiej, jeszcze pewniej, niż my. Został wybrany człowiek w moim przekonaniu, nie tylko zresztą w moim, najlepszy z możliwych. Bo Benedykt XVI to jest człowiek niezwykle dobry, to jest człowiek modlitwy, człowiek kontemplacji, jest to człowiek wielkiego umysłu, wielkiego charakteru. Wielce stanowczy, a zarazem łagodny i pokorny. Drodzy państwo, można go było spotkać codziennie na Placu Świętego Piotra, bo mieszkał obok Via Consillacione w takiej maleńkiej uliczce przy Via Beonina. Ma tam niewielkie swoje rzymskie mieszkanie, mieszkał tam jako pracownik watykański. I ponieważ tam nie można dojechać samochodem, bo uliczka jest za wąska, a on sam w ogóle jest skromny i z samochodu bardzo rzadko korzysta, to chodził na piechotę. Można go było zobaczyć na Placu Świętego Piotra, można było z nim porozmawiać, można było go zapytać, zaczepić — i tak ludzie robili kiedy tylko rozpoznano, że to jest kardynał Ratzinger, bo był bardzo serdeczny, bardzo ciepły, bardzo miły. W dzisiejszym spotkaniu z Niemcami powiedział tak: że przez cały czas modlił się, żeby nie został papieżem. Ale Pan Bóg jego modlitwy nie wysłuchał, więc ten wybór przyjął.

Otóż jest to szczerze wyznanie tego człowieka. On zdaje sobie sprawę z tego, gdzie są granice ludzkich ambicji i co to znaczy być Chrystusowym Namiestnikiem. Wystarczy popatrzeć na niego, na jego sposób zachowania. To jest prostota, ale prostota połączona ze stanowczością. I już mamy na początku jego pontyfikatu przykłady takiej właśnie stanowczości. Odczuli ją m.in. wczoraj dziennikarze, którzy spodziewali się konferencji prasowej, a zamiast konferencji prasowej Benedykt XVI zorganizował audiencję dla dziennikarzy. I dał dziennikarzom poznać, że są tak samo częścią ludu Bożego i Kościoła, jak każdy inny stan i każdy inny zawód. Byli tacy, którym to się nie podobało bo chcieli potraktować go tak, jak się traktuje jakiegoś polityka czy kolegę, stawiając mu najrozmaitsze pytania. Otóż Benedykt XVI jest papieżem, jest tym papieżem od pierwszej chwili swojego wyboru. On o tym wie. Gdyby szukać jakiegoś klucza do tego pontyfikatu, to myślę, a może lepiej: czuję, że nie będzie to pontyfikat działalności w takim znaczeniu, jak Jana Pawła II. Dlatego, że w momencie wyboru Benedykt XVI jest od Jana Pawła II starszy o 20 lat, ma 78 lat. Niesposób więc, żeby to były podróże apostołskie zakrojone na szeroką skalę. Być może, jeżeli chodzi o nauczanie, również nie będzie to pontyfikat aż tak bardzo intensywny, chociaż tutaj pod tym względem nie możemy być pewni. Natomiast to, co Benedykt XVI mówi, np. jego wczorajsze przemówienie to jest przemówienie które stanowi swoisty duchowy majstersztyk. To są najwyższe możliwości duchowości chrześcijańskiej.

Otóż jedno tylko zdanie w związku z tym przemówieniem. Benedykt XVI wczoraj wyszedł od głębokiej religijnej i chrześcijańskiej intuicji świętych obcowania i powiada tak. Trzy razy w ostatnim okresie odmawialiśmy Litanię do Wszystkich Świętych: na śmierć papieża — mówi zawsze: „naszego papieża”, następnie na konklawe, i na mszę świętą intronizacyjną nowego papieża. Chociaż Kościół przeżywał Ukrzyżowanie, chociaż Kościół przeżywał Zmartwychwstanie, przeżywał chwile trudne i

radosne, Kościół nigdy nie jest sam, bo mamy swoich orędowników i braci po drugiej stronie życia. I jednym z nich jest Jan Paweł II. Ale są ich niezliczone tysiące. A więc Kościół to jest tu, gdzie my jesteśmy — pielgrzymujący, ale Kościół jest również tam, gdzie są święci Boży — tryumfujący i będący w chwale. To jest głęboka teologiczna, głęboka chrześcijańska wizja. I na niej papież oparł swoje przemówienie, oparł swoje wystąpienie niesłychanie piękne i niesłychanie mocne. A bardzo mocne słowa to również, że „świat nie jest zbawiony przez przemoc, tylko przez miłość”. I że „świat został zbawiony przez Ukrzyżowanego — a nie tych, którzy Go krzyżują”.

Tych słów w gazetach nie ma, chociaż Ojciec Święty je wypowiedział. Bo z tych słów wynikało, że niejako wciąż, a więc i w świecie dzisiejszym odbywa się krzyżowanie Zbawiciela. I pośród tych słów są jedne szczególnie przejmujące, na które zwracam uwagę państwa. Mianowicie: „Módlcie się za mnie, abym się nauczył bardziej miłować Chrystusową trzodę — ciebie Kościele święty, każdego z was z osobna i wszystkich razem. Módlcie się za mnie, abym nie uciekał z obawy przed wilkami.” To bardzo głębokie, mocne, odważne słowa. Módlcie się za mnie, abym nie uciekał z obawy przed wilkami. To jest pontyfikat Benedykta XVI, zaledwie jego początek. Myślę, że do tego pontyfikatu wrócimy 16 maja — bardzo serdecznie państwa zapraszam na konferencję, której treścią chciałbym uczynić właśnie osobę i pontyfikat Benedykta XVI.

Natomiast dzisiaj chciałbym państwu dać drobiazg, dla wszystkich obecnych starczy. Otóż ten drobiazg ma bezpośredni związek z tym, o czym mówiliśmy. Otóż przywiozłem każdej i każdemu z państwa z Ziemi Świętej obrazek na którym są drobne kwiatki Ziemi Świętej. O tym pomyślałem wtedy, kiedy odprawialiśmy pierwszą mszę świętą w Ziemi Świętej, w Ogrójcu właśnie i z Ogrójca pojechaliśmy prosto do Betlejem. Papież Jan Paweł II bardzo chciał być obecny w Betlejem na początku swojego pontyfikatu. I tam właśnie z Betlejem zabrałem te obrazki, dosłownie nazajutrz po śmierci Jana Pawła II, z kwiatkami Ziemi Świętej. Chciałbym je państwu przekazać, żebyście je sobie wzięli do Pisma Świętego czy do modlitewnika, czy włożyli gdzieś pośród swoich drobnych rzeczy, i żeby państwo zawsze mieli wzgląd, że ten kwiatek, ten obrazek ma związek z Ziemią Świętą, i ma związek ze śmiercią i pogrzebem naszego papieża. I pochodzi z tego kraju, po którym stapał Jezus i że został przywieziony w tym czasie, kiedy pożegnaliśmy naszego papieża. Nie jest to jakaś pamiątka materialnie cenna, ale ma swoją wartość duchową. Bo wtedy, kiedy tam byliśmy w Ziemi Świętej to żeśmy, ja w szczególności, o państwu pamiętali. I pomyślałem również, że skoro mamy nasze konferencje biblijne, skoro państwo przychodzą z takim oddaniem, to taka drobna skromna pamiątka sprawi odrobinę przyjemności a być może pobudzi kogoś i zachęci do tego, żeby myślami i sercem wybiegać do tamtej Ziemi, która jest uświęcona obecnością Zbawiciela. Więc taki drobiazg, ale z serca. Za chwilę go państwu rozdadam.

Na koniec pomódlmy się za świętej pamięci Jana Pawła II i polemy również Panu Bogu papieża Benedykta XVI. Pod Twoją obronę ... Wieczny odpoczynek ... Pochwalony Jezus Chrystus.